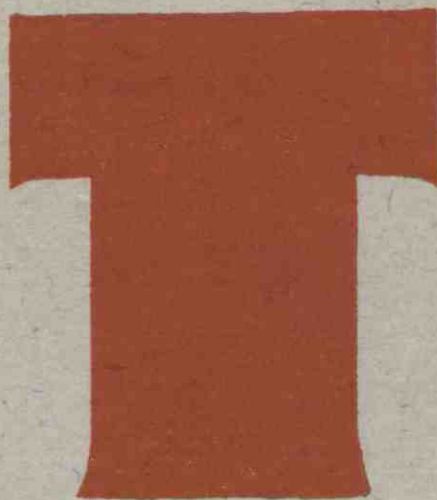


XIV 7.2 1942

TEATR im. JULIUSZA OSTERWY w GORZOWIE WLKP.

1565

Sezon 1971/72



Aleksander Fredro

ZEMSTA

Piąta premiera sezonu

Gorzów - 700 szt. - 24 - 1. 72 - Rzb/554

Aleksander Fredro

ZEMSTA



1793 – 1876

O s o b y:

Cześnik	STANISŁAW POKS
Klara	MARZENA KAMBERSKA
Rejent	WŁADYSŁAW MADEJ
Wacław	LECH MAREK SULIMIERSKI
Podstolina	IRENA ŁĘCKA
Papkin	ADAM WOLAŃCZYK
Dyndalski	STANISŁAW KAMBERSKI
Śmigalski	* * *
Murarz	EUGENIUSZ NOWAKOWSKI

Scenografia:
MAREK DURCZEWSKI

Reżyseria:
IRENA BYRSKA

Premiera: styczeń 1972

Aleksander Fredro

Z E M S T A

Dyrektor Teatru:
CELESTYN SKOŁUDA

*

Kierownictwo artystyczne:
KRYSTYNA TYSZARSKA
CELESTYN SKOŁUDA

*

Z-ca Dyrektora
ds Administracyjnych
PIOTR WOŁOSZYN



1793 — 1876

Mimo zdań niektórych autorów, komedia złożona tylko z osób śmiesznych i dziwacznych tak będzie nienaturalna, jak ze samych mędrców. Komedia obrazem świata; im bliższa kopia oryginału, tym lepsza.

ALEKSANDER FREDRO



Aleksander Fredro

P O R T R E T Y
WSPÓŁCZESNYCH

— 3 —

ONUFRY

Są wszędzie arcyksiężęta, arcybiskupy, w Galicji jest nawet arcystolnik, ale nigdzie nie ma arcyciury — a tym powinien być *par droit de conquete et par droit de naissance* mój Onufry*). Wysoki, pleczysty, chciwy łupu, skory do kieliszka równie jak i do bójki, kiedy odbierał rozkazy, wyprężał się jak struna, brzuch w tył, piers naprzód, stawał skosem jak pizańska wieża. Odpowiedź jego była zawsze: „Słucham”. Bał się kozaków jak diabeł święconej wody. Wszystko to kazalo wnosić z niejaką pewnością, że był kiedyś w rosyjskiej służbie i że nie dopełnił potrzebnych formalności przy podaniu swojej dymisji. Jeżeli kto schylony nad jakim hauptmanem lub praporszczykiem, co już nigdy nie ujrzy ojczystej zagrody, ściąga z niego to, co ściągnąć właśnie nie zdołali koledzy, albo sylabizuje po szwach zakładach najmniejszej odzieży, czy nie doczyta się gdzie zaszytego dukata lub talarka, to pewnie Onufry. Jeżeli kto szuka furazu nie w stajnie, nie w stodole, ale po kufrach i szufladach, to pewnie Onufry.

ARTUR POTOCKI

Artur był to człowiek pełen honoru, dowcipu i dobroci, a przy tym zajmującej piękności. Ale dość było spojrzeć na jego rozpięty mundur, chustkę lekko związaną, ładownicę przekręconą, pendent nie na miejscu, aby w nim poznać popsute dziecko towarzystwa warszawskiego, a razem i armii, bo wódz naczelny był członkiem tego towarzystwa. Zachował on był w postawie i ruchu ową anglomanję, co wówczas ustępowała przed rubasznością obozową.

Wzgarda wszelkiej osłony, tak w czynnościach, jak i w mowie, tam nawet, gdzie ta zdawała się być nieoddzieloną częścią samej rzeczy, jakiś, by się tak wyrazić, cynizm fizyczny, były *conditio sine qua non* do osiągnięcia nazwy birbanta. Kto nim nie był w istocie, musiał udawać, inaczej trącił cywilistą. Mógł być wprawdzie być szacownym, ale nigdy lubianym.

JÓZEF KSIĄŻĘ PONIATOWSKI

Nareszcie weszliśmy do księcia. Siedział sam na ganczku i palił tytoń ze stambułki, oprawionej na krótkim, prostym bukszpanowym cybuszku. Miał na sobie kurtkę granatową z wylogami tegoż koloru, z francuska na przodzie wyciętą, haft jeneralski u kołnierza. Na piersiach gwiazda krzyża wojskowego polskiego i krzyż Legii Honorowej. Chustka czarna, grubo na szyi związana, z białą wypustką, kamizelka biała, spodnie granatowe opięte i buty węgierskie z czarnymi kutasikami i ostrogami uzupełniały strój, który zarywał trochę mundur ułanów austriackich z czasów, kiedy książę u nich, Bóg wie po co, służył, który przechodził nieco we francuszczyznę i który teraz niezawodnie wydałby się arcyśmiesznym.

NAUCZYCIELE

Znał kto z Waćpaństwa Dobrodziejstwa pana Stecewicza? — Nie? — Szkoda!... Był to dobry człowiek, miał wzrost ogromny, nos duży, rzadkiej wielkości nogi, koszulę zawsze brudną i część ubioru nieodzownie potrzebną zawsze podartą. Dlatego zapinał surdut aż pod szyję i siadał wąsko. Był on dyrektorem *alias* pedagogiem moich młodszych braci. Teraz już dyrektorów nie ma, sami gubernatorowie, ale onego czasu pan Stecewicz był dyrektorem, gubernatorem zaś pan Płachetko, na drugi zawód w domu naszym.

Dwie osobliwości łączył on w sobie: pierwsza, że był gubernatorem Polakiem w owym czasie zatapiającej nas francuszczyzny, a druga, że brodę golił bez zwierciadła. Poważna to była figura pan Płachetko, ale można o nim było powiedzieć, przekręcając znane przysłowie: „Nie tak mądry, jak się zdaje”.

Był w naszym domu nauczyciel muzyki, Mikołaj Matłowski... poczciwy, dobry Matłowski!... Dziwną miał zaletę: mógł kilka godzin siedzieć wyprostowany na jednym miejscu i nic nie mówić, i nic nie robić, jak tylko od czasu do czasu zażyć tabaki i utrzeć nosa w kraciatą chustkę z wymaganym rozgłosem.

STARY KAJETAN Z HOCZWI

Kajetan był to strzelec i hajduk podobno, służył dworsko, w czasie kiedy mój ojciec swawolił pod wielką lipą, kiedy rynewki w skale umacniał. W roku 818 czy 819 przyszedł był odwiedzić mnie, bosz z Hoczwi do Cisny, miał trzy. Miał wówczas, jak mówił, lat dziewięćdziesiąt. Głowa jak z marmuru, bez jednego włoska, broda niewielka, prawdziwie śnieżnej białości, twarz czerstwa, oko pełne, był jak postać historii świętej z obrazu zdjęta.

ŁGARZE I PIECZENIARZE

Osuchowski z Żerniczki, stary myśliwy, ten z Cisny nie wyjeżdżał prawie. Czasem wieczór grywał z moim ojcem w mariasza, ale jak było więcej gości, opowiadał wypadki, których sam doznał albo których był świadkiem, wojując z niedźwiedziami. Powiadał, jak raz wziąłszy w zapale kuca srokatego za kundysa, szczuł nim po strzale rannego niedźwiedzia. Kuc w nogi a niedźwiedź do niego... dalej tańcować wkoło buka... póki nie nadszedł strzelec i dobrze wymierzonym strzałem nie położył końca tym mimowolnym płasom. Powiadał, jak widząc swego sąsiada pod niedźwiedziem, wołał przez rzekę: „Panie Podczaszy! oddaj się waćpan Bogu!” — i jak palnął, w sam łeb... (niedźwiedzia rozumie się).

Jak sobie teraz przedstawię tego Krzyżanowskiego, a pamiętam go bardzo dobrze, był on może ostatnim egzemplarzem dworaka, pieczeniara, wyjadacza dawniejszych czasów. Przyjechał konno, torba borsucza i strzelba przez plecy, harap w ręku. Niewielki, krępy, włos szpakowaty, mowa chrypliwa. Pół błazna, pół szlachcica, wszędzie był domowym. Nigdy nie opuścił okazji prosić o korczyk zboża, faskę bryndzy, kawał skóry i czy otrzymał, czy nie, zawsze z uśmiechem ścisnął kolano jaśnie pana. (...) Na szarym końcu u stołu, nie był ostatnim do mowy i do kieliszka, nie urażał się jednak, kiedy w jego lampeczce mętniejsze bywało wino niż przed jego mością albo księdzem proboszczem. Kiedy pan domu co opowiadał, Krzyżanowski oka z niego nie spuszczał, chwycił się za głowę z przestachu albo śmiał się do roz-

puku. Kochany Krzyżonosio! Osuchowski z nim w żaden sposób nie mógł konkurencji wytrzymać — lgał dobrze jako myśliwy, ale i Krzyżanowski był myśliwy, a lgał trzykroć lepiej. (...)

Mam Krzyżanowskiego przed oczyma, kiedy po kilkunastu dniowym pobycie odjeżdżał. Szkapo podkasala, terlica węgierska, sakwy przewieszane z tyłu, a płaszcz z przodu, spod płaszcza zaś wyglądała zgięta podług siodła szyna żelaza wykutego w Ciśnie na wieczną pamiątkę. Wsiadł pan Krzyżanowski, sieczki urznawszy parę razy, skropił szkapę harapem, ruszył z kopyta, a pochylony jak w ukłonie aż za bramą czapkę włożył.

Jeden ze znajomych ojca, żałuję, żem jego nazwiska zapomniał, rozповідаł o swoich podróżach po całym świecie, lubo nigdy nie był za granicą Polski. — Raz — mówił — będąc w Ameryce zabłądziłem w lesie. Im dalej w las, tym gęstszy a droga węższa, nareszcie zniknęła wszelk ślad. Co tu robić? Na szczęście, przypominam sobie, że mam w bryczce doskonałą mapę, a doskonałą jeszcze perspektywę. Rozkładałam więc mapę pod bukiem, zwracam na nią perspektywę i ujrzałam siebie i bryczkę w parowie pod bukiem, drogę zaś idącą działami o pół mili na prawo, gdzie się potem, będąc już zorientowany, łatwo dostałam.

Niedawno umarł na Podolu Jędrzej Szumlański, ostatni może w Polsce łgarz, poeta, tegoczesny Radziwiłł. Między innymi powiadał, że ma ogromny proces z powodu pługa parowego, który sam z Anglii przywiózł. Doskonały — mówił — w jednym dniu zorał mi trzysta morgów, ale na noc zamknięto go w wozowni. Cóż się stało? Pług wrota wyłamał — hajże w pole! Jak zaczniesz orać i orać, aż wpadł na grunta sąsiedzkie, a co gorzej, wszystkie kopce graniczne porozorywał. Stąd proces.

Najlepsze jednak jego koncepta nie dadzą się powtórzyć w dobrym towarzystwie.

KONIE I LUDZIE

... to był koń dziwnego charakteru. Szpakowaty, duży, niezgrabny, szedł zwykle jako tako, ale czasem, kiedy —

jak mówi Rusin — *prystupilo do nioho*, zadzierał głowę, jakby gwiazdy chciał na niebie liczyć śród południa, i z największą flegmą kroczył przed siebie, niebaczny na wszelkie szarpania albo razy swojego jeźdźca, szedł stępią póty, póki nie walnął łbem w mur lub jakie drzewo albo póki nie potknął na rowie lub płocie i pyskiem ziemi nie uderzył.

Znałem ja i ludzi podobnego charakteru. Nie zbląkani ani pędzeni namiętnością, ale z wszelką zimną krwią, rozumując jak najpiękniej a działając inaczej, idą pomimo napomnień przyjaciół drogą niewłaściwą, aż póki koźla nie wywróca. Trzeba przyznać, że mnóstwo skłonności i narowów końskich napotykamy w ludziach. Nie jesteście ten podobny do płochliwego konia, zwanego po niemiecku *bodenscheu*? Wszystkiego się lęka, własnego cienia, ciągle w zimnym pocie trwogi, rzuca się często w bok z dobrej ścieżki w kałużę i nie dość, że sam się zabłóci, jeszcze drugich obryzga. Albo ten, co jak narowista szkapo nie chce z miejsca kroku zrobić, sam nie wie dlaczego. Albo ten co zbyt drażliwy na najmniejsze dotknięcie, cofa się, cofa i cofa, choćby za nim i przepaść była. Ten, co wierzga i gryzie dlatego tylko — aby gryzł i wierzgał, więcej wprawdzie do osła albo muła niż do konia podobny. Ten, co ledwie uczuje łagodną rękę, już ci na kiel bierze. Ten, który póty dobry, póki batog nad nim. Albo nareszcie i ten, co nie tamując swoich dobrych chęci potrzebną rozważą, ciągnie, dźwiga ciężar nad siły, co się nie ogląda na drugich, bo nie zgaduje, nie pojmuje innej natury jak tę, którą czuje w sobie. Szlachetny szaleńcze! Smutny twój zawód, smutny koniec. Idącego naprzód ścigać będą kamienie zawiści, ustającego — drwiny schłoszczą, upadłego — oszczerstwo pogrzebie.

SZLACHTA

Szlachta polska, wiecznie młoda, nie podstarzała się doświadczeniem nawet na zwłokach własnej ojczyzny; wszystkie zalety i wszystkie wady właściwe młodości wieku ludzkiego ona łączy w sobie. Skora do szlachetnego uniesienia, do poświęcenia prowadzącego czę-

stokroć w męczeństwo, nie ma tej wytrwałości, którą tylko dobrze pojęte i dobrze rozważone idee wydać z siebie mogą; nie zastępuje jej nawet uporem, uporem czasem zbawiennym w sprawie publicznej. W zapale stawia na kartę majątek i życie dla celu, dla którego w spokojnym położeniu duszy najlichszej przyjemności wyrzec się nie umie. (...)

Nienawiść w narodzie lub w rodzinie dziedziczna, wywołująca koniecznie zemstę u południowych ludów, jest dla Polaka męczącym uczuciem. „Wybijmy się — woła — a potem kochajmy się, póki się znowu nie wybijemy, aby się kochać znowu”. (...)

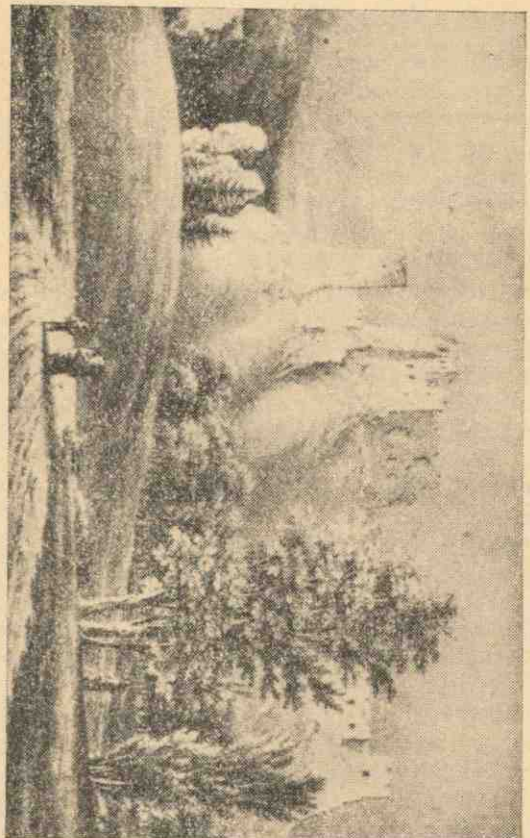
Cóż więc rozdzwaja szlachtę? — Bodaj czy nie prywatą, kryjącą się w pożyczane osłony. Majątek tylko, jak niegdyś w Polsce, tak teraz w Galicji istotną stanowi różnicę, ale gdzież tej różnicy nie ma (...)

Zdaje mi się, że główną przyczyną niesfornych wybryków narodu jest owa wieczna młodość jego charakteru. Ona to pcha do błyszczącego zwierciadła, co nam nie świat nowy, ale tylko nasze własne uczucia odbija. Dla niej księga doświadczenia zamknięta, dla niej wszelka rachuba na przyszłość mozolną. Ona to może okazywać się czymś więcej, niż się jest w istocie. Ona wiedzie do wydatków nad możność, a gdy stąd zię skutki nastąpią, wtenczas wyrasta zawiść ku tym, którym lepiej się wiedzie, albo którzy także taki sam odgrywają dramat, tylko że są jeszcze w pierwszym akcie.

Trzy po trzy
Pisma wszystkie t. XIII.
PIW, 1968



*) par droit... — prawem zdobyczy i urodzenia



Ruiny zamku w Odrzyhoniu

AUTOBIOGRAFIA

Urodziłem się w Surochowie pod Jarosławiem w roku 1793 i do szesnastu lat życia uczono mnie ówczesnym trybem szkolnym pod nauczycielem domowym, który to rodzaj edukacji przekładano nad publiczny pod żadnym względem nie zadawalający moich rodziców. W młodych latach nie okazywałem zdolności do nauki, ta wymagała przede wszystkim pamięci, której nie miałem, a przez to i żadnych korzyści odnieść nie mogłem z udzielonych mi nauk. Usposobienie moje ciche, spokojne, niemal poważne; umysł więcej do smutnych dumań, niż do pustej wesołości skłonny, zyskał mi w rodzinie przydomek młodego staruszka. Miałem lat dwanaście, kiedy pewnego dnia tknęła mię jakaś myśl i pochwycawszy kilka białych kart starego rejestru zacząłem pisać komedię. Plan i wykonanie były dziełem jednej chwili natchnienia: niedziela na wsi i państwa nie ma w domu, pojechali w sąsiedztwo, zostały same dzieci i nudzą się na zabój, bo zapomniano dać im rodzynków i migdałów na bankiet, którego przyrządzenie należy do najmilszych zabaw wieku. Cóż tu począć? jak temu zaradzić? Michał, lokaj przebiegły i łakomy, ofiaruje się wyprowadzić dziatwę z przykrego położenia i wpada na koncept ubrać się w prześcieradło i udając ducha nieboszczki babki, straszyc starą klucznicę. Przestraszona klucznica oddaje klucze od spiżarni i sama chowa głowę w beczkę mąki. Michał tymczasem, gospodarując po spiżarni, łapie co może i pakuje do kieszeni, pamiętając więcej o sobie, niż o dzieciach. Aż tu niespodziewanie nadjeżdżają państwo; duch złapany na gorącym uczynku, ze strachu chowa także głowę w beczkę mąki. Rozwiązanie — sąd moralny — a wszystko pod tytułem „Strach nastraszony”. Próbką ta została mi tylko w przypomnieniu. W parę lat po tej pierwszej próbie

dziecinnego pióra, snuły mi się po głowie dramata wielkiego rozmiaru. I tak w jednym miał być bohaterem generał Jasiński, o którym lubił mi wiele rozpowiadać mój guwerner, dawny wojskowy spod komendy tegoż generała. Dramat ten nigdy nie doczekał się końca, ale miał swój plan, spis osób i pierwszą apostrofę do rodzinnej ziemi: „O ty, która!” lub coś podobnego — wtenczas jeszcze ani mi się śniło nawet, że kiedyś przyjdzie mi chęć pisanja komedyj. Nadszedł rok 1809.

Miałem wtedy lat szesnaście i z bardzo miernym zasobem naukowym, obok niejakiej znajomości książek różnej wartości i treści, mianowicie francuskich, uczulem pociąg do stanu wojskowego i wstąpiłem w szeregi wojsk Księstwa Warszawskiego, które wkroczyły do Galicji... Na obcowanie z muzami nie miałem wcale czasu, ani też, będąc żołnierzem, nie tęskniłem za ich towarzystwem; jednakże gdy w niespodziewanej okoliczności błysnął mi płomyk natchnienia, mimowolnie brałem się do pióra. Zawsze mię coś do bazgrania ciągnęło. Tym sposobem w r. 1810 po raz pierwszy dowiedziałem się, że mógłbym składać wiersze. Jakieś zdarzenie, nie pamiętam, czy wesołe, czy smutne, podało mi sposobność do napisania rymów, które latały z rąk do rąk i zarobiły w moim pułku na niesłychane pochwały. Jeden tylko ze światlejszych kolegów zrobił mi uwagę, że w wielu wierszach brakuje średniówki.

— Średniówki? — zapytałem zdziwiony — nigdy o niej nie słyszałem.

Kolega podjął się wytłumaczyć mi znaczenie średniówki i to była pierwsza lekcja prawideł rymotwórstwa polskiego...

Z rejterującym a staczającym po drodze krwawe bitwy Napoleonem doszedłem do Paryża i pobytowi w tej stolicy winien jestem poznanie teatru francuskiego, który zrobił na mnie nieopisane wrażenie, odpowiednie memu wewnętrznemu usposobieniu, a przy tym całkiem nowe; Lwów bowiem nie miał wtedy stałej, polskiej sceny, a jeżeli bywałem niekiedy na przedstawieniach teatralnych to najczęściej wykonywali je amatorowie, a tak nie mogłem mieć jasnego pojęcia o tej potędze sztuki.

Tragedia francuska, lubo szczyliła się wówczas królem tragików, Talma, znalazła mnie prawie obojętnym widzem. Przesadna deklamacja, ruchy konwencjonalne, monotonia aleksandrynów, ziębiąca wszelkie ciepło, w ogóle nie mogła mi się podobać, nic nie wiedzącemu o trzech jednościach. Przeciwnie, wodewil, komedia, wprawiały mię w zachwycenie. Pierwszy raz widziałem tam skończonych i doskonałych artystów, utrzymujących grą samą najlichszą nieraz ramoty i wtedy to powziąłem przekonanie, wzmocnione z czasem, że nie ma dzieła dramatycznego, choćby jak mistrzowsko przeprowadzonego i wykończonego, które by się obeszło bez dalszego rozwinięcia i podniesienia dobrą grą aktorów.

W parę lat później szczęśliwy trafunek sprowadził mi Żyda antykwariusza, co chodząc po domach z książkami przyniósł Moliera. Zapłaciłem mu dukata, a zabrałem arcydzieła, dotąd mi prawie obce; bo jedną tylko komedię tego mistrza miałem sposobność widzieć na scenie paryskiej.

Biorąc za przewodnika wzór tak nieśmiertelny, wyraźniej zacząłem pojmować powołanie autora dramatycznego i odtąd wziąłem się do studiów na serio.

„Kronika Rodzinna” 1876, nr 22



Tadeusz Żeleński - Boy

STAROPOLSKI
OBYCZAJ

(...) Ewolucje krytyki wyrażają się nie tylko w ogólnym stosunku do pisarza, ale także w zmienności poglądów na poszczególne jego komedie, a nawet na osoby bohaterów. (...) Pomyśleć, dobry Chmielowski uważał, iż u Fredry jest wszystko tak jasne... Wręcz przeciwnie, okazuje się, że nie ma pisarza, co do którego więcej by się tworzyło dziś rozbieżności.

Jedną ze sztuk, w której ocenie zdarzało się tych rozbieżności najmniej, była *Zemsta*. Znajdowała ona łaskę nawet ongi u najsurowszych krytyków Fredry. Ale co do mnie, widzę znowuż w tej zgodności pewne nieporozumienie. A mianowicie dlatego, że wszystkie niemal entuzjazmy krytyki podnosiły zwłaszcza moralne walory *Zemsty*, jej atmosferę.

Sąd ten powtarza się wciąż w literaturze fredrowskiej: „Jedyna komedia Fredry — stwierdza prof. Chrzanowski — która się kończy Bogiem i odzwierciedla obyczaj staropolski i duszę staropolską.”

I wszyscy grają w tę dudkę...

Polemizowałem już niegdyś z powodu *Dam i huzarów* o ten „zacny obyczaj” i „życie nieskomplikowane”. To samo tutaj. Sztuka kończy się Bogiem? Trudno nie zauważyć, że gdyby nie „dwa posagi” Klary, sztuka nie kończyłaby się Bogiem, ale nowym procesem wytoczonym przez nieubłaganego Rejenta. „Uczciwy obyczaj”? — te pieniactwa, gwałty, fałszywe świadectwa, bałwochwalczy kult pieniądza; „obraz cnoty domowej”? — te szacherki z Podstoliną, która wędruje z rąk do rąk i w którą ojciec przez zemstę, chciwość i pychę chce ubrać własnego syna? Promienny uśmiech Fredry zmienia te wszystkie brzydactwa w piękno, ale czar tego uśmiechu nie powinien urzec aż do popełnienia tak grubych omyłek natury moralnej. Chociaż, z drugiej strony, tego rodzaju „kiksy” zdarzają się dziś zarówno w naszej literaturze, jak krytyce tak często, że byłbym skłonny uważać je za najautentyczniejszą puściznę staropolszczyzny.

A już cała niemal fredrologia roi się od nich.

Bo jeszcze dalej posunął się prof. Kucharski... „Demonstrując publiczności — pisze prof. Kucharski o Fredrze*) — jak istotna przeszłość staropolska w sztuce wyglądać może, jak on ją pojmuje i jak na nią patrzy, tym wyraźniej pragnął się zastrzec przed przy-

puszczeniem uczuciowej i artystycznej solidarności z figurą Jowialskiego.

Stuletnie jakoby nie zrozumienie *Pana Jowialskiego* przez teatr i aktorów to dopiero teza prof. Kucharskiego, bynajmniej nie dowiedziona. Słynne niezadowolenie Fredry ze śmiechu publiczności na tej komedii, oparte na dość wątpliwej anegdocie, odnosiłoby się w każdym razie do daty znacznie późniejszej niż premiera *Pana Jowialskiego*. Na tym domku z kart buduje prof. Kucharski drugi: mianowicie, wytłumaczenie pobudek(!), jakie skłoniły Fredrę do napisania *Zemsty* (której pomysł i pierwotna redakcja o kilka lat zresztą wyprzedzają *Pana Jowialskiego*).

Wszystko to nasunęło mi jedną myśl. Uczynić sobie zabawę i odczytać jeszcze raz tę uroczą a tak dobrze mi znaną *Zemstę*, ale odczytać wyłącznie z nastawieniem życiowym, obyczajowym. Czytajmy.

Już pierwsze słowo informacji autorskiej jest bardzo charakterystyczne: „Pokój w zamku Cześnika”. Co to znaczy? Czy p o k ó j Cześnika, czy z a m e k Cześnika? Ze składni wynikałoby, że zamek. Ale w wierszu 24 czytamy: „Bawi z nami w domu Klary”. — zatem jesteśmy w domu Klary, toż samo wiersz 124 powiada: „Ojciec Klary kupił ze wsią zamek stary... — Tu mieszkamy jakby sowy”...

Czyj więc, u licha, jest zamek, u kogo właściwie jesteśmy? I tutaj — mimo woli, jak sędzę — dał Fredro bardzo charakterystyczny rys szlacheckich. Cześnik jest opiekunem Klary: cóż zwykleszego niż owo zatarcie granicy między mieniem opiekuna a mieniem sieroty, z którego opiekun przez czas ich małoletności bez kontroli korzysta! Konsekwencją takich opiek było albo przymusowe małżeństwo sieroty z opiekunem, albo też wydanie jej, również w pół przemocą, za mąż za tego, kto pokwituje opiekuna z rachunków opieki; często za starca lub brudną figurę. Jakże częste są takie sytuacje w dawnej literaturze wiernie w tym względzie malującej życie.

Czemu Cześnik mieszka w domu Klary? Nie chcę robić plotek, ale podejrzewam, że interesy Cześnika są mocno zaszłapanie. Inaczej, czemu by on, beznadziejnie stary kawaler, tak kwapił się naraz do żeniaczki — wszystko jedno z kim — i to rozpoczynając kroki przedślubne od

pilnego wertowania ekstraktów tabularnych? „Co za czynsze — to kobieta!” — wykrzykuje zachwycony, przeglądając dokumenty majątkowe Podstoliny. Te jej czynsze uratowały może Klarę... „Qua opiekun i qua krewny — miałbym z Klarą sukces pawny...” Śmiejemy się, gdyby to nie było w komedii, groźnie brzmiałyby te słowa. Wiemy, co to znaczy: ten sam pleban, który z końcem sztuki „czeka już w kaplicy”, aby na rozkaz pana dać ślub, mniejsza o to komu i mniejsza o to z kim, in blanco, pobłogosławiłby tym skwapliwiej przymusowy związek bogatej a bezbronnej sieroty z opiekunem. Może dlatego w tym zamku, gdzie jest posażna panna na wydaniu, żyje się „jakby sowy”, aby nie dopuścić do niej możebnego konkurenta?

Ale wdówka dochody „ma znaczniejsze”; więc „choć u niej co w ukryciu — Bóg to tylko wiedzieć raczy”, Cześnik decyduje się na wdówkę i osiąga sukces dzięki temu, że Podstolina jest zrujnowana, a zapewne Cześnika ma za bogatego, jak on znów ją. W epoce patriarchalnego obyczaju niejedno małżeństwo było taką oszukańczą grą, sprzedawaniem ślepego konia na jarmarku.

Nawiasem mówiąc sędzę, że Cześnik nie jest takim wielkim panem, jak to mniemają niektórzy krytycy, urzeczony jego karmazynowym kontuszem. Skąd! Cześnik (powiatowy) to bardzo skromna godność tytułarna, fikcja fikcji; Raptusiewicz to nazwisko niezbyt karmazynowe; majątek — co najmniej niewyraźny. Ten rębajło sejmikowy, którego szabla „niejednego posła wykrzesala z kandydata”, należy najwyraźniej do owej masy szlacheckiej występującej się możniejszym od siebie. (Inaczej inni byłiby jego „krzesali” na posła; już widzę naszego Cześnika posłem!) Może to był wielki los w życiu Cześnika, że się dorwał tej opieki nad bratanicą starościanką, co już przedstawiało jeden szczebel wyżej. Kiedy ten Cześnik woła: „hoła, ciury, hej, dworzanie”, na nieistniejących dworzan, albo kiedy się odgraża, że „pozna szlachcic po festynie, jak się panu w kaszę dmucha”, można przypuszczać, że raczej to jest doskonałym wyrazem owych „fumów”, którymi jeden szlachetka wynosił się nad drugiego. Mam wrażenie, że hrabia Fredro, bywały Europejczyk, z pobłażliwą ironią patrzy na pańskości tego brata szlachcica z wiechciami w butach, jakich jeszcze tyle widział dookoła siebie. Zapewne

jest ten Cześniak czymś dostojniejszym od Rejenta, choćby dlatego, że Cześniak pił, bił się i tracił, gdy tamten krzątał się i ciułał; ale ciemny, bez oglądy, wiszący u bratanicy, jest ten Cześniak, który „w powiecie całej szlachcie pokarbował nosy”, bardzo w istocie pokątną wielkością. Godne wreszcie uwagi jest, że swoje najdelikatniejsze sprawy sercowe i honorowe powierza Cześniak Papkinowi, głupcowi i mocno szubrawej figurze. I w tym jest wyborna pointa: ten Cześniak jest poniekąd pasożytem w domu Klary i ma tam swojego podpasożyta Papkina; bufon ma swego bufona. I cały ten mur graniczny, o który Cześniak się tak sroży, nie jest nawet jego...

Jedna jest rzecz godna uwagi: przez cały czas akcji nigdy — z wyjątkiem samego zakończenia — Cześniak nie spotyka się z Klarą. Takt Fredry oszczędził mu tej drażliwej sytuacji. Bo Klara ma ostry języczek: mógłby jeszcze ten stryjo usłyszeć jakie słówko prawdy.

A Rejent niewołący syna do związków z Podstoliną, której przeszłość nie jest dlań tajemnicą; Rejent wciąż z Bogiem na ustach, żyjący obłudą, chciwstwem i nienawiścią? Wszyscy go pamiętają gdy wygłasza oblesnie owo: „Cnota, synu, jest budowa — jest to ziarno, które sieje...”, lub gdy w swej rozkosznej kwiecistym barokiem retoryce cynicznie dziękuje lafiryndzie, która z „arcy wielkiej łaski” raczy „syna jego dzielić łożę”... Zaiste, obraz „uczciwego obyczajów i cnoty domowej”...

Zauważmy nawiasem, że chciwość, złość i próżność oślepiły Rejenta tak, że ten kauzypierda podpisał najgłupszą w świecie umowę (owe sto tysięcy), która omal go nie zrujnowała. I to jest rys znakomity!

Co do Rejenta nikt nie ma złudzeń; ale kiedy krytyka (Chmielowski) przeciwstawia mu Cześniaka, który jako by „nigdy nie używa podstępów, fałszu i obłudy”, wówczas godzi się wspomnieć scenę pisania listu, artystycznie uroczą, ale inaczej nieco przedstawiającą się, gdyby ją wziąć obyczajowo lub, broń Boże, moralnie. Czy trzeba przypominać tę scenę? Cześniak dyktuje tu list niby od Klary do Waclawa; czyli że aby schwytać syna swego wroga w pułapkę, opiekun ten fałszuje list kompromitujący jego własną pupilkę, narażający, wedle ówczesnych pojęć, cześć jej w najwyższym stopniu. I mówi się, że Rejent jest podstępny, a Cześniak porywczy, ale

idący prostą drogą! Ten Cześniak rad by był krętaczem, ale inteligencja mu nie dopisuje. Wreszcie, nie mogąc wybrnąć z listu, posyła pokojówkę, aby imieniem Klary zaprosiła Waclawa. Zaczajeni ludzie chwytają młodego człowieka, po czym stawia mu się dylemat: „Lub do turmy pójdziesz na dno — gdzieś siedzisz, trudno zgadnąć — albo oddasz rękę Klarze”.

A zważmy, że Cześniak nic nie wie o wzajemnej skłonności Waclawa i Klary; jedyną jego pobudką to owo cudowne: „Rejent skona”... Abyśmy zaś nie mieli co do wartości jego postępków żadnych wątpliwości, dodaje: „A jeżeli starościanka — pójść nie zechce do ołtarza — jest tu druga jej bratanica — tej za ciebie pójść rozkażę... — Pleban czeka już w kaplicy...”

Ładną w istocie rolę gra ten pleban w „jedynej komedii Fredry, która kończy się Bogiem”... Daje śluby jak molierowski aptekarz lewatywy!

Zważmy, że takie poczynania, takie wybryki gwałtu i samowoli były dość wiernym odbiciem obyczajów i że jeżeli która, to ta sztuka pokazuje sprawy, które „w innym okazane światłem, już tragiczne mogłyby obudzić uczucia” — jak to o utworach Fredry, z dość osobliwym wyłączeniem *Zemsty*, pisał Pol.

Stawi się z dawien dawna — i słusznie — piękno apostrofy Cześniaka: „Nie wódz nas na pokuszenie — ojców naszych wielki Boże; skoro wstąpił w progi moje — włos mu z głowy spaść nie może...” I w istocie, tajemnicą poezji Fredry jest, że w chwili gdy Cześniak wymawia te słowa, zachwyceni, zapominamy najzupełniej, że ten sam Cześniak przed chwilą niegodnym podstępem zwabiał w „progi swoje” syna sąsiada, aby pod grozą turmy zmusić go do świętokradzkiego sakramentu... Bo i on zapomniał najzupełniej i godzi te dwie rzeczy doskonale, i w tym jest poetycka prawda tej sceny.

Rzecz kończy się — jak wiadomo — szczęśliwie, dzięki dubeltowemu posagowi Klary. Jedynie pod tym wpływem Rejent, który co powiadał do żenionego już syna: „Wstań, serdeńko, i chodź ze mną”, mięknie i mówi do siebie: „dwa majątki — kasek gładki” — i dopiero pod tym znakiem następuje owa „zgoda”, do której „Bóg rękę poda”; bo ciągle mieszanie imienia boskiego do najlepszych szacherek jest bardzo dla tej staropolszczyzny charakterystyczne.

Dołączmy Podstolinę, która zawarłszy kontrakt z Rejentem na zasadzie swego fikcyjnego majątku, współoszukańczo wyłudziła odszkodowanie w klauzuli i najspokojniej wyciąga po nie łapkę. I kto wie, przy owych stu tysiącach wycyganionych z jego pupilki („te z mojego ja zapłacę” — powiada niedbale Klara), Podstolina wyda się może za Cześnika?...

Wszystko to jest bardzo żywe, prawdziwe w każdym słowie i geście, i wiernie maluje obyczaj szlachecki, zwłaszcza z epoki rozkładu; co do artyzmu, co do wizji świata, *Zemsta* jest klejnotem w skarbcu komediowym wszystkich literatur. Topnieję z rozkoszy oglądając ją dobrze graną na scenie. Ale uważać ją za autorem *Przygód Benedykta Winnickiego*), za „wzór pocziwości, szczęścia i cnoty” to mi się wydaje osobliwym nieporozumieniem. Jeszcze dziwniejsze wydaje mi się, że ktoś odważa się twierdzić — i budować na poparcie tego twierdzenia jakże sztuczne konstrukcje — że Fredro „chciał tu pokazać, jak pojmuje prawdziwą staropolszczyznę”! A już najdziksze to widzieć w *Zemście*, jak tenże sam komentator**) „królewskie blaski przeszłości”. Co tu jest królewskiego? Królewska tu jest tylko poezja Fredry; reszta to małe świństwa drobnych ludzi.

W apoteozie tego ponurego sarmatyzmu nasza nowa krytyka przeliczyła swoich poprzedników. Jeżeli Tarnowski, (który wielbił Fredrę niemal bez zastrzeżeń, ale w ocenie fredrowskiego świata „znał proporcje, mocium panie”), charakteryzując (1876) dwóch bohaterów *Zemsty*, powiadał, że gdyby mieli stanowisko i siły po temu, Cześnik, „urazony, podniósłby rokosz jak Zebryzdowski o kamienicę”, a Rejent „jak Radziejowski wyniósłby się chyłkiem i sprowadziłby Szwedów” — to prof. Kucharski pisze ni mniej, ni więcej, że „Polska urosła z takich dwu sił i wartości: z polysku stali w rękę takich rębaczy jak Raptusiewicz i z nieugiętej, żelaznej woli, skupionej w mózgu takich bajecznych głowaczy jak Milczek”.

To się nazywa podbijać bębenka! Skoro już tak daleko sięgać, sądzę, że z większym podobieństwem można by powiedzieć, że Polska upadła przez takich ciemnych warchołów jak Cześnik, który jak był konfederatem barskim, tak samo mógł być konfederatem targowickim, i przez takich sobków, krętaczy i pieniaczy jak Rejent,

którego „bajeczna głowa” objawia się głównie rutyną w dostarczaniu fałszywych świadków („nie brak świadków na tym świecie” — artystycznie ten wiersz jest cudem nad cudy, ale czy nie przechodził nas zimny dreszcz, kiedy go wymawiał stary Rapacki?); słowem, upadła przez zapóźnienie się w tępej i zmurszałej szlachetczyźnie.

I dziwi mnie, że kiedy „przyszła kryska na Matyska” i kiedy, zdawałoby się, zaczęła się, z takim impetem podjęta przez prof. Kucharskiego, rewizja do świata fredrowskiego, wszystko skupiło się — aż do zbytku — na jowialszczyźnie, a skończyło się apoteozą raptusiewiczstwa.

A konkluzja tych uwag? Jeśli nicuję tak wartość moralną tego minionego świata, to dlatego, że widzę pewne niebezpieczeństwo w stosunku do poety. Materiał życiowy, z którym związany jest nierozdzielnie artyzm Fredry, stanowi niemałą zaporę w tym, aby ten artyzm przemówił w całej pełni do ludzi dzisiejszych. Uczyc ich, w jaki sposób cud sztuki zdolny jest przetworzyć w piękno przeciętną lub najlichszą bodaj rzeczywistość, oto jedno z zadań krytyki wobec Fredry. Ale wmawiać w dzisiejszego widza, w młodzież zwłaszcza, że ciemnota i lajdactwo w kontuszu — byle podlane bigoterią — są pocziwością i cnotą, że są „królewskim blaskiem przeszłości”, to znaczy wyzywać jej krytycyzm, którego w stworzonym niebacznie nieporozumieniu łatwo pada ofiarą dzieło poety. A znów jeżeli się to uda wmówić, to tym gorzej...

Ileż razy krytyka pieje o „czystej atmosferze” utworu, w którym dzieją się same draństwa, byleby tylko dziewicę dotaszczone nietkniętą do ołtarza. A takie nieuporządkowanie stosunku do literatury musi ciążyć i na życiu. Dlatego niemal z przerażeniem czytam w monografii fredrowskiej prof. Chrzanowskiego o „poczuciu honoru” Majora w *Geldhabie* albo o „niemaliej wartości moralnej” Cześnika z *Zemsty*. Stosunek fredrologów do fredrowskiego świata demonstruje z całą naiwnością, ile jeszcze sarmatyzmu spod najciemniejszej gwiazdy pokutuje w naszych obiegowych kryteriach moralnych.

OBRACHUNKI FREDROWSKIE
t. V, s. 88—100
PIW, W-wa 1956

*) we wstępie do *Zemsty*
**) Wincenty Pol
***) prof. Kucharski



Aleksander Fredro

ZAPISKI STARUCHA

Gdzie nienawiść kują, tam demagog przy miechu, a diabeł przy młocie.

* * *

Półmędek — jak droga nie skończona: w środku błoto, a minąć nie ma gdzie.

* * *

Czasem moralista jak kominiarz; czyści kominy, a sam brudny.

* * *

„Zgoda, panowie bracia!!!” — Alias: zróbcie, co ja chcę.

* * *

Moskale nazywają złoczyńcę — złodziejem, źle — dziejem. Ten zaś, co kradnie, zwie się wor. Tym razem można by się zgodzić z ks. Pawlikowem dobrodziejem i należałoby przyjąć słowo moskiewskie, bo u nas jest dużo worów — i haftowanych, i z herbami, i z dewizą: *Beatus, qui tenet*. — I wprawdzie nasz wyraz złodziej za ogólny, a poniekąd fałszywy — bo dla drugich to źle—dziej, ale da sobie dobro—dziej. Dlatego rozkazano, aby (...) całe *consortium* tytułowało się między sobą: Dobrodziejami.

* * *

Gdzie dużo szumu — mało rozumu.

* * *

Nie ma „ale”, gdzie dukaty idą w swaty.

U kłótliwego — kulak za pasem.

Do naprawy budynku trzeba i pionu, i dźwigni; topór
nie wystarcza.

Daj mu dziś, on chce jutro; a pojutrze jak nie dasz —
— masz wroga.

Nie ten głupi, kto źle sądzi, ale ten, co go sędzią zrobił.

Naród, który nie ma woli i siły powiedzieć lotrom, że
lotry — nie wart być narodem..

„Patrz, patrz! poczywy człowiek!!!” — wkrótce jak na
raroga będą krzyżeć ludzie.

Lekkomyślność, niegospodarność, marnotrawstwo — de-
moralizują i późniejsze pokolenia.

Dziś tytuł dziedziczny — dym, dym, nic więcej. A jednak
pachnie zawsze i niejednemu demokratycznemu nosowi.

W starych piecach diabeł pali. Ale jeszcze lepiej — w
ładnych i modnych piecykach.

Żądza wściekła zysku ogarnęła społeczeństwo. Póki jej
jaka nowa idea nie okiełzna, póty ani nauka, ani praca
wystarczać jej nie będą.

Wielu może uchodzić za rozsądnych powtarzając cudze
zdania — jeżeli tylko wiedzą, co powtórzyć.

Przyjaźnią więcej można osiągnąć jak przymusem. Groź-
ba zastraszy lękliwych, ale śmiałych zrobi krnąbrnymi.
Quand meme!

Należałoby opodatkować gadatliwość. Za słowo rozumne
— grosz, za głupie dukata. Byłyby miliardy.

Gdzie się dwóch głupich kłóci; kłótnia nie ma końca.

„Jakoś to będzie!..” Fatalizm głupoty. Ze złego złe bę-
dzie, nic więcej.

Trudniej dziś o dobrego szewca, jak o męża stanu.

Niebaczny! Kłudziesz gzymsy, a mur pęka.

Pomostem staje się ten, co już milczeniem protestować
nie umie.

Dach się już pali, a doktryner jeszcze dowodzi, że się
palić nie powinno.

Im więcej moralność upada, tym więcej strażników wy-
maga.

Kto się spanoszył — jeszcze nie pan.

Nie stronnictwa pętają cywilną odwagę, ale chwiejni przyjaciele.

*

Wróg ręce założył i czeka. — Nasza niezgoda za niego pracuje.

*

Do wszystkich wad naszego dawnego społeczeństwa — nowe dołączyło się jeszcze: Bezwzględny egoizm, osłaniający się świętą miłością ojczyzny.

*

Że pijany szaleje — nic dziwnego. Ale że tylko pijany może dziś podobać się trzeźwym — to nie do pojęcia.

*

„W mętnej wodzie ryby łapać” — należy poprawić: Mąca wody, aby ryby łapać.

*

„Mądry Polak po szkodzie” — poprawić: Nie mędrszy Polak po szkodzie.

*

Wszystko da się mniej więcej obliczyć, tylko nie głupota narodowa. Bo albo zatonię sama w sobie, albo wzniesi pożar, którego tak powodu, jak końca zgadnąć nie można.

*

Żli ludzie tym więcej szkodzą, że obłudą i oszustwem wstrzymują dobrych od dobrego.

*

Nie wiedzieć, czy to skutkiem ciągłych burz — ale u nas coraz więcej bałwanów.

*

Lada śmiały oszust znajdzie zaraz tysiąc pomocników — a apostoł porządku ledwie stu tchórzów.

*

*Durus contra durum iaciunt murum**). Jeden z wiarusów przetłumaczył: Jak się dwóch durniów zejdzie — twarde jak mur!

Aleksander Fredro
PISMA WSZYSTKIE t. XIII
PIW. 1969

*) *Durus contra...* (łac.) — Twardy przeciw twardemu — czynia mur.

Obsługa przedstawienia:

Inspicjent	RYSZARD KŁAKOWICZ
Sufler	EWA LICHODZIEJEWSKA
Kierownik techniczny:	ZDZISŁAW WALOSZEK
Główny elektryk:	ZDZISŁAW WITKOWSKI
Brygadier sceny:	MIECZYŚLAW ADAMKIEWICZ
Rekwizytor:	KAROL STÓJ
Prace fryzjerskie:	HELENA JANICKA
Prace ślusarskie:	JAN KALWASIŃSKI
Garderobiana:	EUGENIA ADAMKIEWICZ

Kierownicy pracowni:

Malarskiej	MICHAŁ PUKŁICZ
Stolarskiej	BERNARD KOKTYSZ
Krawieckiej damskiej	MARIA KOCHANA
Krawieckiej męskiej	STANISŁAW NASZCZYNICZ

W repertuarze:

Antoni P. Czechow
WIŚNIOUY SAD

Aleksander Ścibor-Rylski
R O D E O

Stanisław Wyspiański
WYZWOLENIE

Michał Borzykowski
KOT W BUTACH

W przygotowaniu:

George B. Shaw
ŚWIĘTA JOANNA

Redakcja programu:
Uruszula Macińska

Prace fotograficzne:
Zbigniew Łacki

Składał:
Józef Pauliński
Lechosław Mazurkiewicz

Łamał:
Franciszek Warchlewski

Drukował:
Jan Marciniak
Tadeusz Gomulak